

Przemysław Słowiński

BRZEMIEŃ

Opowieść
o księdzu Władysławie Bukowińskim,
duszpasterzu sowieckiej Rosji

Wydawnictwo WAM
Kraków 2011

© Wydawnictwo WAM, 2011

Redakcja
Aleksandra Dawiec

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki i stron tytułowych
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7505-743-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Ciało można zamknąć
i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej celi więziennej,
lecz nie uwięzi się ducha,
który stamtąd znajduje drogę wprost do Boga

KS. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

Permisywizm to nic innego jak tolerancja dla odbiegających od normy zachowań społecznych, zakładająca bezużyteczność lub nawet szkodliwość większości zakazów obyczajowych. Jest to styl życia, w którym wolność utożsamia się z przyzwalaniem na jakikolwiek wybór. Mówiąc krótko, permisywizm to po prostu tolerancja wobec łamania norm moralnych. W dzisiejszej kulturze nie jest bynajmniej czymś zupełnie nowym. Swe korzenie intelektualne ma już w oświeceniowych i XIX-wiecznych prądach subiektywistycznych. Trzeba dużo, bardzo dużo wysiłku, aby z ogromnego gąszczy tego, co dziś oferuje nam świat, wyłuskać to, co jest prawdziwe, dobre i piękne, ponieważ w sieci tej znajdziemy bardzo wiele zła, powikłań egzystencjalnych i sporów. Znajdziemy też wiele opisów poczucia rozpacz i beznadziejności. Te ostatnie objawy nie są niczym innym właśnie jak skutkami zachowań permisywnych ludzi w początkach XXI wieku. Człowiek i społeczeństwo, dla którego nic nie jest święte, szybko ulegają moralnej dekadencji.

Permisywizm jest praktyczną konsekwencją relatywizmu moralnego. Według jego wyznawców i apologetów w różnych okresach historycznych, środowiskach czy kręgach kulturowych istnieją odmienne kodeksy moralne. Czyn uznany w pewnych kręgach za niemoralny w innych jest już obojętny lub wręcz godzien pochwały. Jestem przekonany o słuszności mojego kodeksu moralnego – twierdzą relatywiści – widzę jednak, że są ludzie równie przekonani o słuszności kodeksów o odmiennej treści, nie mam więc podstaw, by ich potępiać ani narzucać im swoje normy. W imię suwerenności każdej jednostki aprobuję inne kodeksy moralne.

Postawę nihilizmu moralnego reprezentują ci, którzy świadomie uznają, że normy moralne nie powinny być regulatorami życia osobistego i społecznego, czyli zamiast wartości, jaką jest moralność, eksponują inne wartości, takie jak: spontaniczność, siła, moc, estetyka,

skuteczność czy korzyści. Te właśnie wartości mają sterować życiem i być kryterium oceny świata.

Współczesny zlaicyzowany świat, jak zarazą dotknięty wyżej wspomnianymi – oraz kilkoma innymi, nie mniej groźnymi – „izmami”, jak nigdy dotąd potrzebuje świętości. Potrzebuje jej jak powietrza, jak wody i jak słońca, chociaż często sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Lecz zarazem mniej niż kiedykolwiek świat ten potrzebuje hagiografii, a przynajmniej tej tradycyjnej – sterylnej świata gipsu, woskowych lili, podniesłego komunału, dramatu przetłumaczonego na naiwne jaśółka, odgrywanego na tle infantylnej makiety nieba.

Na horyzoncie chrześcijaństwa święci stoją jak wygasłe wulkany – napisał Jan Józef Szczepański. – Ich imiona kojarzą się często już tylko z ikonograficznym symbolem, z ludową przepowiednią pogody, z datą z kalendarza. Zapomniano, jakie wstrząsy wydzwignęły ich w górę, jakimi tryskali lawami. Kiedy przyjrzeć im się bliżej, niejedna z tych postaci wydaje się dziś kontrowersyjna. Można wśród nich znaleźć złotoustych demagogów, wzywających do nietolerancji, fanatyków wysyłających dzieci na pewną śmierć od chorób i saraceńskich strzał, doktrynerów, którzy położyli głowę za spekulacje nieznaczące już nic dla nikogo. Pojawienie się świętego w naszych skłonnych do cynizmu czasach jest zjawiskiem prowokującym do zadumy nad istotą cywilizacji, która nas ukształtowała.

Poniższa historia, chociaż bohaterem jej jest sługa Boży w trakcie procesu beatyfikacji, ma – przynajmniej w założeniu autora – być opowieścią o człowieku z krwi i kości. „Był korpulentny, rumiany na twarzy, miał donośny głos, lubił się śmiać i żartować” – wspomina jedna z parafianek księdza, Alicja Moskalowa. Właśnie o takim księdzu Bukowińskim chcę napisać. O postaci wielkiej, heroicznej, o człowieku niewątpliwie świętym, lecz niewolnym także od niektórych ludzkich słabostek i przywar. O kimś, kto będąc właściwie tylko ziarnkiem piasku rzuconym w tryby wielkiej maszyny terroru, potrafił skutecznie dobro przeciwstawić złu i tą drogą ocalić wiarę, miłość i nadzieję tam, gdzie inni zatracili nawet swoje człowieczeństwo.

Jak powiedział kiedyś Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński: „Nie wystarczy urodzić się człowiekiem – należy jeszcze nim

być”. Ksiądz Władysław Bukowiński stał się wzorem do naśladowania właśnie dlatego, że w świecie miliona wież i prawie żadnego dzwonu, w świecie miliona cerkwi i prawie żadnej modlitwy prowadził strapionych i zagubionych wprost do Boga. Wlewał w serca nadzieję tym, którzy tej nadziei już nie mieli.

Kiedy ksiądz Bukowińskiego namawiano do powrotu do Polski i ostrzegano, że tutaj, w „imperium zła” z pewnością skończy w łagrze, odpowiadał: „W łagrach kapłan jest najbardziej potrzebny”.

W sumie spędził w sowieckich obozach i więzieniach ponad 13 lat. W swoich *Wspomnieniach z Kazachstanu* napisał:

Przyjaciel mój, ksiądz dr Józef Kuczyński, godnie dzierży światowy rekord wśród wszystkich księży katolickich. Jest to rekord uwięzienia. Wynosi on 17 lat.

Mój drugi przyjaciel, ksiądz – obecnie już prałat – dr Bronisław Drzepecki jest wicemistrzem światowym. Ma za sobą 15 lat uwięzienia.

Ja znajduję się na dalszym miejscu. Mimo trzykrotnego uwięzienia zdołałem nazbierać zaledwie 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni.

Swoje miejsce do końca widział tam – w sowieckim Kazachstanie i wszystkich pozostałych odwiedzanych przez siebie miejscowościach rozrzuconych na obszarze potwornego kraju, gdzie żyli ludzie potrzebujący Boga.

Msze odprawiał i chrzczył nocami, zmieniając co rusz miejsce pobytu, bo tylko tak ludzie mogli uniknąć represji za to, że pozwolili mu pełnić kapłańskie czynności we własnych mieszkaniach. Była nędza, surowość życia i ustawiczna prowizorka, przy której ówczesne polskie warunki to luksus.

Po długiej nocy prześladowań i zwątpienia przychodził do ludzi jako zwiastun nadziei, uczył katechizmu, udzielał sakramentów, spowiadał. Nie bacząc na fizyczne zmęczenie, ustawiczne napięcie, grożące szykany i ograniczone środki, starał się dotrzeć wszędzie tam, gdzie jeszcze nie zgasły iskry wiary i gdzie z popiołów mogła ona odrodzić się na nowo.

Jedni uwielbiali go i czcili jak świętego, inni uważali za szaleńca. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, że razy i obelgi tudzież okrzyki: „wariat, wariat!” często towarzyszyły wielu świętym.

Od samego początku władza radziecka głęboko nienawidziła Kościoła, widząc w nim największego rywala komunizmu we władaniu sercami i umysłami ludzi. Lenin był nie tylko twórcą klasycznej taktyki w zwalczaniu wiary w Boga. Włodzimierz Iljicz osobiście cierpiał na swoisty uraz, on po prostu nienawidził Boga. W listach do Gorkiego nazywał go „rozkładającym się trupem, który smrodem rozkładu zaraża powietrze świata”.

Szczególną niechęcią sowieckiej *własti* „cieszył się” Kościół katolicki. Tylko konkurencyjna religia, żywiąca niewypowiedziany strach wobec ducha, jaki zbudował domy Boże na terenie Rosji, mogła zemścić się, niszcząc je tak złośliwie. Stare powiedzenie mówi, że w samej tylko Moskwie kościołów było kiedyś „czterdzieści razy czterdzieści”. Bardziej dokładne dane mówią o liczbie czterystu pięćdziesięciu. Większość, ponad dziewięćdziesiąt procent, zniszczył Józef Stalin, były słuchacz seminarium duchownego.

Kościół Chrystusa Zbawiciela był największy w Moskwie. Wzniesiono go z datków ludzi, by upamiętnić zwycięstwo nad Napoleonem, a sama budowa świątyni zajęła ponad czterdzieści lat. Ukończono ją w roku 1880. Niestety *Cerkow Christa Spasitiela* nie spodobała się Stalinowi. Pewnego dnia postanowił ją zburzyć.

Przyszli robotnicy, ale kościół się oparł. Budowały go tysiące ludzi – budowały wyjątkowo solidnie. Ściany wytrzymały atak burzycieli i nie padły. Zadaniem obarczono więc Czeka¹, tajną policję, poprzedniczkę NKWD i KGB. Wysłani przez nią saperzy podłożyli laski dynamitu. Ekspłodowała tak, że w promieniu kilku kilometrów wyleciały wszystkie szyby. Ale mury w końcu się zawaliły.

Na miejscu kościoła planowano wybudować Pałac Rad, zaprojektowany w groteskowym stylu tortu weselnego stalinowskiego baroku. Liczne kondygnacje miały wznosić się na wysokość trzystu metrów i kończyć stumetrowym pomnikiem Lenina. Oczy statuy miały rzucić czerwony promień widoczny na kilometry, jak ideologiczna latarnia morska. Ale nawet nie przystąpiono do realizacji projektu. Teren był

¹ Czeriezwyczajna Komisja (Nadzwyczajna Komisja) – w skrócie Cz.K. powołana została do życia 7 grudnia 1917 roku do walki z kontrrewolucją, spekulacją i sabotażem. Na jej czele stanął Polak, Feliks Dzierżyński.

w tym miejscu bagnisty i nie mógłby udźwignąć tak potężnej konstrukcji. Zamiast tego wybudowano wielki basen na otwartym powietrzu – gigantyczną chrzcielnicę, w której kąpała się cała Moskwa, ale nie mogła zmyć swych grzechów.

Zarówno jednak Lenin, jak i potem Stalin nie mieli odwagi nakazać całkowitego wykorzenia duchowieństwa. Obawiali się, że taki krok może spowodować ostry bunt ludności, którego nie opanuje nawet NKWD. Toteż po pierwszej fali przemocy, polegającej na paleniu cerkwi, rabowaniu kościelnych skarbów i wieszaniu diakonów, politbiuro zdecydowało się zmienić taktykę i pokonać Kościół metodą jego dyskredytacji w oczach społeczeństwa.

Imano się najrozmaitszych sposobów. NKWD przejęło na przykład całkowitą kontrolę nad seminariami duchownymi, z których usunięto wszystkich ludzi młodych i inteligentnych, zastępując ich przybyszami z odległych zakątków imperium. Poziom nauczania uległ znacznemu obniżeniu, co wkrótce odbiło się na ogólnym poziomie wykształcenia duchowieństwa.

Większość obiektów sakralnych po prostu zamknięto i pozostawiono na pastwę losu. Pomagali mu budowniczowie metra, czas i korniki też dołożyły swoje. Jeszcze później urbaniści z ochotą pustoszyli miasto. Kościoły zostały przekształcone w fabryki, biura, galerie sztuki i muzea. W rezultacie, pod koniec lat pięćdziesiątych, czynnych pozostało w Moskwie tylko około siedemdziesięciu kościołów. Pozostających na służbie diakonów zmuszono, by regularnie składali meldunki służbom bezpieczeństwa, a z biegiem lat uczyniono z nich informatorów donoszących na wiernych. Jeśli ktoś chciał ochrzcić dziecko, diakon z jego parafii musiał zameldować o tym fakcie władzom, w efekcie czego człowiek ten tracił swą pozycję społeczną: był wyrzucany ze studiów, otrzymywał niższe i gorzej płatne stanowisko, jego rodzice musieli wyprowadzić się z zajmowanego dotychczas mieszkania... Komuniści stosowali starą jak świat politykę kija i marchewki, choć zamiast kija używali bata, zaś marchewka była zatruta.

W roku 1932 ogłoszono pięcioletni plan antyreligijny, który zapowiadał, że w ciągu najbliższych pięciu lat na terytorium Związku Radzieckiego nie będzie potrzebny ani jeden dom modlitwy, zaś samo pojęcie

Boga będzie wykreślone jako przeżytek średniowiecza i narzędzie hamowania rozwoju mas. Duchowni wszystkich wyznań i religii zostali uznani za kategorię szkodliwą dla nowego ustroju, a księży katolickich potraktowano jako element szczególnie niebezpieczny i wrogi. Tylko w latach 1937–1940 osiemdziesięciu jeden spośród nich zostało rozstrzelanych. Ci, którzy pozostali przy życiu, znaleźli się w łagrach lub na zesłaniu, żyjąc w warunkach, które *de facto* nie dawały im szans przeżycia.

Po drugiej wojnie światowej stworzono dla kościoła trzy strefy. Pierwsza obejmowała Litwę i Łotwę, gdzie hierarchię kościelną i seminaria pozostawiono na razie bez większych zmian. Na Białorusi i Ukrainie jako drugiej strefie nie było już hierarchii i seminariów, tylko niektóre parafie obronione dzięki determinacji wiernych. Na pozostałych terenach Związku Radzieckiego nie istniały parafie i kościoły z wyjątkiem części kościołów w Moskwie i Leningradzie. Nie mógł tam działać żaden ksiądz, wszystkich postanowiono uwięzić i osadzić w łagrach.

Heroicznej zaiste odwagi i ogromnej wiary wymagało głoszenie słowa Bożego w warunkach, w których być dosłyszonym przez bliźniego, doświadczyć przyjaźni, lojalności, solidarności w duchowym, a często i fizycznym zniewoleniu i upodleniu oznaczało szansę przetrwania. Ksiądz Władysław odważył się głosić prawdę wbrew wszelkim zakazom i nakazom władz, a przecież mogło się to skończyć – i niejednokrotnie tak było – źle, gdy w pobliżu znalazł się ktoś, kto ze służbowego obowiązku lub ze zwykłego tchórzostwa zajmował się tropieniem przejawów ludzkiej solidarności. Solidarności, będącej czymś najnaturalniejszym pod słońcem, ale dlatego właśnie tak bardzo prześladowanej przez sowieckie władze, których siła brała się z rozrywania międzyludzkich więzi i walki z wiarą w cokolwiek innego niż nieśmiertelna myśl Lenina.

Nic więc dziwnego, że sam wielki papież Jan Paweł II podczas homilii dla duchowieństwa w czasie wizyty apostolskiej w Kazachstanie we wrześniu 2001 roku wyraził się o księdzu Bukowińskim w sposób następujący: „Sam miałem szczęście znać go osobiście i podziwiać jego głęboką wiarę, mądre słowo i niezachwianą ufność w potęgę Bożą”.

Natomiast w liście do kardynała Franciszka Macharskiego z 18 listopada 2004 roku pisał:

Cieszę się, że postać tego bohaterskiego kapłana nie idzie w zapomnienie. Przeciwnie, pozostaje on w pamięci wielu jako heroiczny świadek Chrystusa i pasterz tych, którzy doświadczyli prześladowań z powodu wiary i pochodzenia. Nigdy ich nie opuścił. Dobrowolnie poszedł na zesłanie, aby dzielić ich los. Bogu dziękuję, że mogłem go osobiście poznać, budować się jego świadectwem i wspierać w każdy możliwy w tamtych czasach sposób. Nigdy oprócz modlitwy nie prosił o nic dla siebie, ale zawsze był otwarty na wszystko, co mogło dać oparcie w wierze i w cierpieniu tym, których pan Bóg powierzył jego pieczy. Podziwiałem jego oddanie i duszpasterski zapał. Niestraszne mu były przeciwności, nawet więzienie, byle tylko uciśniony Lud Boży mógł czerpać z jego posługi.

Zostaliśmy wyświęceni nie po to, aby się oszczędzać – twierdził ksiądz Władysław – lecz jeżeli jest potrzeba, ażeby oddać nasze życie za owczarnię Chrystusa.

A niedługo przed śmiercią napisał w swoich pamiętnikach:

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nawet najbliższa, mnie i moim przyjaciółom pracującym w duszpasterstwie w Związku Radzieckim. Nie wiem, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszym Kościołem w tym kraju. Wiem tylko jedno, iż słodkie jest jarzmo Chrystusowe, a brzemień jego jest lekkie...

*

Już samo to, co napisano powyżej, wystarczy, aby postać tak wspinała jak ksiądz Bukowiński doczekała się biografii. To pierwszy powód, dla którego postanowiłem napisać tę książkę.

Dzięki wysiłkom księdza Witolda Kowalowa, apelującego od wielu lat o zbieranie wspomnień o Władysławie Bukowińskim i zgromadzone wspomnienia wydającego w bibliotece Wołanie z Wołynia, materiałów do biografii duszpasterza sowieckiej Rosji jest sporo. To drugi powód.

Jest i powód trzeci. Ksiądz Władysław był kuzynem mojego dziadka, Sławomira Bukowińskiego. Dziadek mojego dziadka, Ludwik, oraz dziadek księdza Władysława, Cyprian, byli rodzonymi braćmi, synami Mateusza Bukowińskiego, który zbuntował się przeciwko legalnej wła-

dzy carskiej w 1830 roku, biorąc udział w awanturze funkcjonującej w naszej historiografii pod nazwą powstania listopadowego. W wyniku tego Rosjanie zabrali mu rodzinny majątek.

Powód czwarty to taki, że miałem zaszczyt poznać bohatera tej opowieści osobiście w roku 1969, gdy zaledwie jako dziesięcioletni chłopiec chyba nie do końca umiałem docenić, z jak wspaniałym człowiekiem dane mi było się spotkać. Pamiętam wielkie zaaferowanie całej rodziny, poprzedzające wizytę księdza w naszym mieszkaniu w Katowicach przy ulicy *nomen omen* Armii Czerwonej (dzisiaj Wojciecha Korfantego). Pamiętam szacunek, z jakim wyrażano się o księdzu, pamiętam całą otaczającą go już za życia legendę... I pamiętam spory zawód, kiedy w dziadkowym fotelu zasiadł w końcu poprzedzony tak wielką sławą gość z dalekiego Kazachstanu.

Niestety w niczym nie przypominał Simona Templara, czyli „Świętego”, czy choćby Janka z „Pancernych”, ani nawet kapitana Klossa. Gdyby nie potężna tusza, rzec by można, iż ksiądz wyglądał niepozornie. Ubrany w liche garniturek, w jakim na Śląsku nikt nie pokazywał się przynajmniej od 1956 roku, absolutnie nie spełniał marzeń dziesięcioletniego chłopca o wielkim bohaterze. Na nogach miał rozłożące się filcowe buty, o jakich często mówi się: „pamiętające lepsze czasy”. Te były jednak tak stare, że z powodu zaawansowanej sklerozy zapewne w ogóle niczego już nie pamiętały.

A jednak to właśnie ten otyły człowiek w niemodnym garniturku odważył się bez zahamowań głosić starą biblijną prawdę, że ziemia jest okaleczona i nieszczęśliwa z powodu grzechu i zła, jednakże pozostała dziełem Stwórcy. Że splugawiona mimo wszystko jest ołtarzem Boga, nie zaś podnóżkiem szatana. I że przyrzeczono jej zmartwychwstanie oraz przemienienie, gdyż co ustanowił Pan, trwa na wieki.

Zarówno funkcjonariuszom zbrodniczego reżimu, jak i niektórym zadufanym w sobie „klechom”, którzy ugrzęźli we własnej zasobności i jej konsekwencjach, człowiek ten zaświecił w oczy Ewangelią jak żagwią i pokazał, że naprawdę można właśnie tak. Że cnoty i wskazania ewangeliczne nie są mrzonką fantasty. Cóż bowiem zabrać można człowiekowi, który nie ma nic? Albo czym zagrozić, jeśli nie ma w nim lęku? Takich ludzi nawet uwiezić nie można skutecznie, ponieważ swoją

wolność noszą w sobie i tylko jej słuchają w imię Pana. Są nieuchwytni jak wiatr. I potrzebni ludziom jak powietrze.

Źródłem heroizmu księdza Bukowińskiego była jego wiara. Ona nie tylko uzbroiła go w męstwo, ale podsunęła również gotowy wzorzec postępowania. Był człowiekiem wielkiej pobożności. A do polskości wnosił cechy, które raczej trudno byłoby przypisać polskiemu temperamentowi: roztropność, żelazną wytrzymałość, wytrwałość, systematyczność i konsekwencję. Był też człowiekiem modlitwy. Modlił się dużo i zawsze na kolanach; a gdy się modlił, stawał się nieobecny, zapamiętywał się. Mówiono, że kiedy ksiądz Władysław się modli, można przy nim strzelać z armaty, nie usłyszy.

W relacji księdza Bukowińskiego z pobytu na „nie ludzkiej ziemi” nie znajdzie się ani cienia egzaltacji, ani jednej nuty nienawiści w stosunku do prześladowcy. Ksiądz opowiadał rzeczy straszne głosem ściszym i pokornym, tak jakby opisywał historię ciężkiej, lecz nie beznadziejnej choroby. Zdziwiał jego olbrzymia wiara w Opatrzność Bożą, której dłoń, w sytuacji wydawałoby się bez wyjścia, odczuwał bardziej aniżeli ktokolwiek z zewnątrz. Władysław Bukowiński po prostu zaufał Bogu. Ale nie tak, jak wielu ludzi ufa Najwyższemu, jakby Go wciągali do spółki zarobkowej, uważali za magiczne narzędzie sukcesu albo chcieli przymusić do udzielenia pomocy, bo ich dzieło jest dobre. Zaufał Mu całkowicie i bezwarunkowo.

Spuścizna piśmiennicza księdza Władysława, zwłaszcza jego listy, zadziwiają właśnie bezgranicznym zaufaniem w Bożą Opatrzność. W państwie sowieckim, w którym wiele narodów zostało porażonych obezwładniającą beznadziejnością, człowiek tak ufający w Bożą miłość był dla ludzi, których spotykał na swej drodze życia, nie tylko apostołem, ale świadkiem nadziei i prorokiem. Swoją postawą umacniał zranione ludzkie serca, zranione ciężko przez okrutny system, pokaleczone przez grzech.

Nie tylko zresztą słowem głosił miłość bohater tej opowieści, ale czynem praktykował ją na co dzień. A wszystko to *ad maiorem Dei gloriam*.

Siedemnaście lat po śmierci księdza Bukowińskiego upadł Związek Sowiecki i niemal natychmiast nastąpiło wielkie odrodzenie wiary. Sprawdziły się słowa kapłana, że „Rosja jest jak wysuszony step”, że wystarczy tylko „rzucić iskrę, a zapłonie wiara i nadzieja”. Mimo wieloletniego panowania ateizmu, prześladowań duchownych i otwartej walki z chrześcijaństwem, pozostało ono głęboko zakorzenione w narodzie. A stało się tak między innymi dzięki odwadze i poświęceniu kilku Bożych szaleńców, wśród nich także i księdza Władysława.

Dziś do grobu sługi Bożego księdza Władysława Bukowińskiego przybywa wielu ludzi, wypraszając potrzebne łaski. Jedną z nich było niewątpliwie otrzymanie przez katolików w Karagandzie pozwolenia na budowę kościoła, o co sam ksiądz Władysław zabiegał bezskutecznie przez wiele lat.

Religią tradycyjną jest w Rosji prawosławie, katolicy są tam niewielką mniejszością. Jest ich niespełna 800 tysięcy, co stanowi 0,6% społeczeństwa, liczącego ponad 130 milionów obywateli. Jego struktury składają się z jednej archidiecezji w Moskwie, trzech diecezji: w Saratowie, Irkucku, Nowosybirsku, jednej prefektury apostolskiej w Jużnosachalińsku oraz egzarchatu apostolskiego dla katolików obrządku bizantyjskiego.

Osiemnaście lat najnowszej historii Kościoła katolickiego w Rosji to czas odrodzenia, odbudowy i rozwoju. I chociaż również dziś, pod rządami „cara” Putina², nie ma on lekko, to jednak obecnej niechęci władz nie można porównywać z prześladowaniami minionej epoki. Kościół katolicki w Rosji po latach zniewolenia stanął wreszcie mocno na nogach, ma wszelkie potrzebne instytucje, rozwinął działalność duszpasterską, katechetyczną i informacyjną. Bierze aktywny udział w życiu społecznym, kulturalnym i naukowym kraju, jest również trwałym elementem rosyjskiej rzeczywistości, dającym wiarę i nadzieję zateizowanemu społeczeństwu.

Zdaniem metropolity Moskwy abp. Paola Pezziego, największym osiągnięciem tamtejszego Kościoła jest już samo jego odrodzenie,

² Wprawdzie od 2008 roku prezydentem Rosji jest Dmitrij Miedwiediew, ale – jak twierdzą znawcy tematu – za wszystkie najważniejsze sznurki wciąż pociąga Władimir Władimirowicz.

a największym wyzwaniem – świadczenie wraz z prawosławnymi o Chrystusie w codziennym środowisku życia.

Trzeba zaznać głodu, by odczuć niebiański smak zdobytej kromki chleba. Trzeba przeżyć furję piorunowych burz, by ocenić szczęście pierwszego promyka słońca. Trzeba żyć długo podwójnym życiem: wolnym w katakumbach, zniewolonym na ziemi – by odczuć aż do najgłębszych zakamarków duszy potęgę misterium, gdy wychodząca z podziemia wolność zaczyna pokonywać niewolę. Trzeba wreszcie grozy wspaniałej i silnej, by w naturze człowieczej odezwało się bohaterstwo i wyrrywając go z objęć powszedniości, poniosło ku wyżynom uczuć odświętnych, by szala umiłowania wartości idealnych i dobra powszechnego – narodowego czy ogólnoludzkiego – przeważała ciężar całego światka osobistych, egoistycznych pragnień, trosk i radości.

Pewnie dlatego tak mało mamy bohaterów i jeszcze mniej świętych.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W znanym powiedzonku „pisz pan na Berdyczów” miasto funkcjonuje jako synonim miejsca, którego nie ma. W rzeczywistości jednak jak najbardziej istnieje. Obecnie znajduje się na Ukrainie, nad rzeką Hniłopat, 44 kilometry na południe od Żytomierza. W *Słowniku mitów i tradycji kultury* Władysław Kopaliński zasugerował, iż cytowane powiedzenie wzięło się z niezbyt sprawnej poczty berdyczowskiej. Tymczasem poczta w Berdyczowie uchodziła za jedną z najlepszych, zaś porzekadło ma zupełnie inną historię.

W drugiej połowie XVIII wieku król Stanisław August Poniatowski udzielił miastu na wniosek zamieszkałych tam Radziwiłłów przywileju organizowania aż osiemnastu jarmarków rocznie, w tym czterech o charakterze międzynarodowym. W krótkim czasie Berdyczów stał się prawdziwym centrum handlu dalekosiężnego – jednym z najważniejszych między Ukrainą a Koroną. Zjeżdżający do miasta z całej Europy wędrowni kupcy przykazywali rodzinie, znajomym i kontrahentom pisać do siebie na Berdyczów, jako że był to jedyny adres, pod którym z całą pewnością w ciągu 2–3 miesięcy można ich było znaleźć. Wielkie rzesze przybyszów i mnogość tymczasowych kwater w licznych zajazdach, rezydencjach i karczmach (było ich w Berdyczowie ponad sto) utrudniały jednak bardzo doręczenie przesyłek pocztowych, stąd bardzo ważną rolę w przebiegu handlowej informacji pełniła berdyczowska *poste restante*.

Z czasem znaczenie zawołania zmieniło swój sens i dzisiaj używa się go w sytuacjach, w których jedna osoba chce drugą spławić. Powiedzieć komuś „pisz do mnie na Berdyczów” znaczy mniej więcej: „nie chcę cię znać”, „nie mam dla ciebie czasu” czy też „odjeżdżam daleko stąd”. Sporą zasługę ma w takim odczytaniu tych słów niejaki Słowacki

Juliusz, z zawodu poeta i wieszcz narodowy, który w swym poemacie dygresyjnym pod tytułem *Beniowski* napisał:

Lecz pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,
O doświadczenie jak o grosz złamany
Nie dbał – wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z panną Anielą. – Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło – dopóki wioski
Nie stracił... wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.

Początki Berdyczowa sięgają połowy XV wieku, kiedy to na terenie obecnego miasta istniał zamieszkiwany przez niejakiego Berdyczachutor, wokół którego rozwinęła się potem osada. Zgodnie z postanowieniami unii lubelskiej³, w 1569 roku miejscowość została włączona do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a 24 lata później uzyskała prawa miejskie.

Pamiętką tamtych czasów i zarazem ważnym pomnikiem polskiej kultury na tych ziemiach jest istniejący do dzisiaj warowny zespół klasztorny Karmelitów Bosych, ufundowany w roku 1630 przez Jana Tyszkiewicza – wojewodę kijowskiego, starostę żytomierskiego i śniażyńskiego. Od 1721 roku znajdował się tu cudowny obraz Najświętszej Marii Panny sprowadzony ze Lwowa, ważny cel pielgrzymek⁴. W swej

³ Unia lubelska – umowa międzynarodowa Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim zawarta 1 lipca 1569 na sejmie w Lublinie. Określana jako unia realna, w odróżnieniu od poprzednich, wiążących oba państwa tylko osobą władcy (unia personalna). Została przyjęta 28 czerwca, a podpisana 1 lipca, ostatecznie ratyfikowana przez króla 4 lipca 1569. W jej wyniku powstało państwo zwane odtąd: Rzeczpospolitą Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego – ze wspólnym monarchą, herbem, sejmem, walutą, polityką zagraniczną i obroną, zachowano odrębny skarb, urzędy, wojsko i sądownictwo.

⁴ W czasie długiej historii Berdyczów przeżył różne najazdy, ale sanktuarium nigdy poprzednio nie ucierpiało. Dopiero bolszewicy urządzili tu muzeum ateizmu i religioznaw-

pracy o sanktuariach maryjnych ojciec Wacław z Sulgostowa napisał: „Czym dla Litwy była Ostra Brama, dla Korony Jasna Góra, tym dla Rusi był Berdyczów”.

Czasy Augusta III i Stanisława Augusta Poniatowskiego były dla Berdyczowa okresem prosperity. W roku 1793 stał się siedzibą konfederacji targowickiej, przeniesionej z Tulczyna, a po drugim rozbiore Polski został przyłączony do Rosji.

W roku 1850 w miejscowym kościele pod wezwaniem św. Barbary odbył się ślub Honoriusza Balzaka z Ewelina Hańską, a 3 grudnia 1857 roku przyszedł tu na świat Józef Konrad Korzeniowski herbu Nałęcz, znany potem jako Joseph Conrad, wybitny pisarz angielski. (Według innych źródeł urodził się w sąsiednim Terechowie). Berdyczów to również miejsce urodzin słynnego pianisty ukraińskiego Vladimira Horowitza.

W okresie powstania styczniowego we wspomnianym klasztorze drukowano ulotki, gazety i patriotyczne pisma. W odwecie car zarządził konfiskatę zakonu. Sanktuarium istniało nadal, obsługiwane przez karmelitów występujących jako księża diecezjalni.

Miasto odgrywa wyjątkową rolę także w historii Żydów. Jego dzieje są tak ściśle powiązane z tą grupą etniczną, że w kulturze polskiej, ukraińskiej, a nawet rosyjskiej stanowi wręcz symbol żydowskiego miasteczka. Starozakonni pojawili się tu pod koniec XVI wieku i zajęli rozwojem handlu oraz rzemiosła. W 1865 roku ludność pochodzenia żydowskiego stanowiła już 91% mieszkańców, a Berdyczów stał się drugim co do wielkości skupiskiem Żydów w Rosji oraz największym centrum chasydzkim⁵ na Wołyniu.

stwa. W czasie II wojny światowej podpalili cały zespół klasztorny, znaleziono później tylko relief cudownego obrazu MB Berdyczowskiej.

⁵ Chasydyzm to ruch religijno-mistyczny, który powstał na terenach dawnej wschodniej Polski w XVIII wieku i rozpowszechnił się następnie wśród Żydów zaboru rosyjskiego i austriackiego. Nazwa pochodzi od wyrazu *chasiid*, czyli pobożny. Chasydyzm powstał jako reakcja na upadek obyczajów, zaniedbanie w życiu religijnym, nadużycia finansowe zarządów gmin, stronnictwo sądów rabinackich i niesprawiedliwy rozdział podatków. Zapoczątkował ten ruch Izrael ben Eliezer (1700–1760), zwany też Baal Szem Tow, urodzony w miejscowości Okop pod Kamieńcem Podolskim.

W latach 1917–1919 Berdyczowem zarządzała wspólnota żydowska z działaczem Bundu⁶ Dawidem Lipetsem na czele. Wraz z nastaniem ZSRR zamknięto większość synagog i stopniowo ograniczano działalność instytucji żydowskich. Niemcy, którzy wkroczyli w 1941 r., dokonali ogromnej masakry Żydów, a pozostałych przy życiu wymordowali potem w getcie. Wojnę przeżyło co najwyżej 6 tys. osób (20% mieszkańców).

*

Dom Bukowińskich w Berdyczowie rozsiadł się na skraju miasta, w ogrodzie pełnym starych lip, dębów i wierzb. Był niewielki, biało tynkowany, z brązowymi futrynami, wspartym na kolumnach gankiem i drewnianymi ławeczkami pod każdym oknem. Mieściło się w nim pięć słonecznych i widnych pokoi, urządzonych gustownie i ze smakiem, oraz kuchnia z przyległościami. Ulubieńcami dzieci – o których za chwilę – były dwa fotele i kanapa w salonie, miękkie, głębokie, tak że wpadało się w nie jak w gniazdo.

Latem, przez okna ujęte w staroświeckie muślinowe firanki, zaglądały do wnętrza rozkwitnięte róże, malwy, georginie i słoneczniki. Ogród był zawsze piękny: zielony latem i wiosną, jesienią mienił się kolorami, jakich nie tylko żaden malarz nie wymyśli, ale i nie nazwie. Żółto więdnących łodyg mieszało się z zielenią liści, które pod koniec każdego lata zaczynały skrzyć się amarantem, karminem i fioletem. W pokojach było dużo kilimów, słońca i kwiatów.

Właściciel tego domostwa, Cyprian Józef Bukowiński, absolwent szkoły rolniczej w Dublanach, pochodził z rodziny ziemiańskiej, z majątku rodzinnego Świącica w powiecie sandomierskim. W odległe

⁶ Bund – Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji; został założony 7 października 1897 roku w Wilnie. Celem tego ugrupowania było zjednoczenie wszystkich żydowskich robotników Imperium Rosyjskiego w jednej socjalistycznej partii. Bund uznawał, że narodowe i społeczne wyzwolenie mas żydowskich nastąpi wraz z upadkiem kapitalizmu. Opowiadał się za kulturalną autonomią dla Żydów wschodnioeuropejskich, utworzeniem laickiego szkolnictwa i wspieraniem kultury w języku jidysz. Bundowcy wierzyli, że dzięki temu Żydzi nie ulegną asymilacji i zachowają swoją odrębność. Był partią antysyjonistyczną (przeciwną ruchowi na rzecz powrotu do Palestyny) oraz antyreligijną.

strony wyjechał, gdy powierzono mu obowiązki dyrektora cukrowni w Berdyczowie, należących do Spółki Kijowskiej.

Był potężnym mężczyzną, o wielkich, silnych dłoniach i tubalnym głosie – wspomina go wnuczka, Jolanta Barbara Bukowińska-Wichrowska. – Pomimo tego wyglądu był człowiekiem niezwykle ciepłym i z dużym poczuciem humoru.

Bukowińscy to stara rodzina szlachecka o wielce patriotycznych tradycjach, pieczętująca się herbem Drogosław. Według *Herbarza Polski i Imionospisu zasłużonych w Polsce ludzi wszystkich stanów i czasów: ułożonego porządkiem alfabetycznym na podstawie herbarza Niesieckiego i manuskryptów* (Lwów 1855):

Przodek domu tego zawitał do Polski za panowania Kazimierza Wielkiego ze Szlązka, otrzymał zaś ów znak herbowy z tej okazji: iż gdy w pewnej rozprawie od nieprzyjaciela w około został opasanym, toż on dodawszy swoim odwagi, mieczem drogę sobie utorował, a przerywając ów cyrkuł nieprzyjaciela, wojsko szczęśliwie z grożącego niebezpieczeństwa wyprowadził.

Ta sama księga opisuje wygląd herbu w sposób następujący:

W polu czerwonym na barku srebrnej połutoczenicy takąż rogacina opierzona w słup (czyli na barku półpięścienia srebrnego strzała srebrna pionowo). W klejnocie 5 strusich piór.

Pradziadek bohatera tej opowieści, Mateusz Bukowiński, był uczestnikiem powstania listopadowego, za co Rosjanie zabrali mu majątek. Jego syn, Ludwik Bukowiński, nie wyciągnął chyba z tej lekcji żadnych wniosków, bo kiedy wybuchło powstanie styczniowe, natychmiast ruszył do boju. Znalazł się w oddziale Langiewicza, przyszłego dyktatora powstania, i otrzymał groźny postrzał w bitwie pod Grochowiskami.

Powstanie, jak wiadomo, zakończyło się klęską. Dwadzieścia tysięcy powstańców poległo, 2 tysiące zmarło lub stracono ich w więzieniach, około 10 tysięcy władze rosyjskie zesłały do kopalń na Ura-

lu, a 40 tysięcy na Syberię. Polskie społeczeństwo dotknęły również ogromne straty materialne i szeroko zakrojone konfiskaty majątków uczestników powstania oraz osób je wspierających.

Idąc do powstania, Ludwik i jeden z jego przyjaciół zakopali w lesie dwie drogocenne, wysadzone szlachetnymi kamieniami karabele. Za takie cacko można było wtedy nabyć nie jedną, ale całą klucz wsi. Przyjaciel zginął, a Ludwik po powrocie znalazł zamiast karabeli jedynie porzewiały chłopski kozik. Nie wiadomo, kto wykopał skarb, ale jakimś dziwnym trafem w opisywanym czasie ogromnie wzbogacił się jeden z miejscowych gospodarzy, niejaki Szymon. Za resztkę posiadanej gotówki Ludwik kupił kawałek lasu, który wykarczował i wybudował tam z czasem dwór o nazwie Nawarzyce.

Jego starszy brat, Cyprian, ojciec wspomnianego wyżej Cypriana Józefa, nie wziął udziału w powstaniu, ponieważ był już wtedy ojcem kilkorga dzieci. Za uzyskaną część schedy po Mateuszu postawił otoczony sadami dwór w Świącicy, na terenie dzisiejszego województwa świętokrzyskiego (gmina Obrazów). W średniowieczu był to folwark rycerski należący do rodu Świącickich herbu Jastrzębiec.

W 1871 roku w Świącicy urodził się Władysław Bukowiński (syn Cypriana oraz Emilii z Lipińskich, a zarazem stryj bohatera tej opowieści), używający pseudonimu Selim. Poeta oraz krytyk literacki i teatralny, aresztowany przez carską ochranę za szerzenie patriotyzmu. Przed z górą stu laty założył i redagował miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy „Sfinks”, z którym współpracowali między innymi Stefan Żeromski i Tadeusz Miciński.

Panią domu w Berdyczowie była Jadwiga Scipio del Campo, małżonka Cypriana Józefa, której drzewo genealogiczne z pewnością nie było ani młodsze, ani mniej szlachetne. Brat jej Michał był jednym z pionierów polskiego lotnictwa. Protoplastą tej rodziny był Piotr Scipio del Campo – Gubernator Księstwa Baru i Rossano, marszałek dworu królowej Bony, który przybył z ziemi włoskiej do Polski w roku pańskim 1518. Za żonę miał neapolitankę Livie, księżniczkę de Leonardi.

Herb Scipio to „cztery laski błękitne w czerwonym polu, na krzyż na ukos złożone, z których dwie na jedną stronę idą, dwie na drugą; w Chełmie zaś Pelikan, krwią z rozdartych piersi troje dzieci ożywiają-

cy”. Tak właśnie opisuje go sławny Kasper Niesiecki – polski genealog, heraldyk, jezuita, leksykograf, pisarz, teolog i kaznodzieja – w swoim dziele *Herbarz Polski* (wyd. J.N. Bobrowicz, Lipsk 1839–1845).

Niesiecki twierdzi, że owe cztery laski w herbie znajdują się tam na pamiątkę „czterech niegdyś triumfami wslawionych Scypionów, którzy od zawojowanych Rzymowi prowincyi nowych przydomków nabyli; a to – Scipio Africanus major, Scipio Aziaticus, Scipio Nasica, Scipio Numantinus – albo Africanus minor”; że „ród ten, dziś polski, od owych Rzymian pochodzi, zaprzeczyć trudno, aczkolwiek tego żadne tu dokumenta dowieść nie mogą”.

Niezaprzeczalnym faktem jest już jednak, że od wieków kolejne pokolenia rodu Scipio del Campo wiernie Rzeczypospolitej służyły, nie wahając się nawet, kiedy przyszła taka potrzeba, z krwi swej szlacheckiej Ojczyźnie daninę składać. Już syn Piotra, Fabrycy, pierwszy z tego rodu z Włocha Polak, pomny zapewne sławy swych rzymskich przodków, za dzielność w bitwie przeciw Moskwie pod Wielkimi Łukami⁷ został przez króla Stefana Batorego odznaczony i obdarzony licznymi dobrami.

*

Zima roku 1904 była na Wołyniu wyjątkowo surowa. Ogromne śniegi zasypały wszystkie drogi. Zwierzęta poukrywały się w swych norach, szukając schronienia przed mrozem, który srebrzystymi okowami skuł strumienie i rzeczki. Tylko gałęzie drzew trzaskały ostro, łamiąc się pod ciężarem przywalającego je śniegu.

Ranek 22 grudnia miał kolor i gęstość mleka. Białe tumany mgły przeciągały po okolicy, wlokąc się po nadrzeczu i przez opustoszałe pola. Od czasu do czasu podmuch wiatru tworzył w nich coś w rodzaju tunelu, przez który można było dostrzec włochaty od świerków niedaleki

⁷ Oblężenie Wielkich Łuk miało miejsce od 1 do 6 września 1580 roku podczas wojny polsko-rosyjskiej 1577–1582. Atak na twierdzę rozpoczął się 1 września ostrzałem artyleryjskim i akcjami piechoty usiłującej podpalić umocnienia i zedrzeć darń z wałów. Ostatecznie obrońcy poddali płonącej twierdzy 6 września. Do środka wdarła się czeladź obozowa i Węgrzy. Jednak zamiast zająć się gaszeniem pożaru, rzucili się na rabunek. Gdy ogień dotarł do prochowni, nastąpił wybuch, który zniszczył większość twierdzy, zabił 200 Polaków i Węgrów oraz większość załogi moskiewskiej.

las, przyobleczony w zimową szatę, potężny i cichy. Zakrzepty staw, obrzeżony półkolem sosnowego boru, wyglądał jak olbrzymi amfiteatr. Po drugiej stronie, tuż niemal nad szklistą taflą, stały gęste kępy modrzewi, a śnieg i szron osnuły ich gałęzie ciężkim pokrowcem. Wśród pni panował nieprzenikniony mrok.

Od kilku godzin padał drobny, kłujący śnieg, bielszy niż kornet zakonniczy. Świt z trudem przedzierał się przez śnieżny całun, zwisający gdzieś wysoko i ginący w odchodzącym mroku nocy. Olbrzymie lipy, dęby i wierzby, rosnące w ogrodzie Bukowińskich, wyciągały długie oblodzone gałęzie, podobne do ramion gigantów. Ich kryształowe palce trzepotały się w takt przeraźliwych podmuchów. W takich miejscach jak to wiatr nigdy nie wyje i nie huczy, lecz jęczy, zawodzi, lamentuje i wydaje dźwięki pochodzące jakby z zupełnie innego świata. Brzmi to jak requiem dla potępionych albo jak krzyk duszy skazanej na mękę. Taki lament wichury doprowadził już niejednego do szaleństwa.

Tego właśnie dnia w skutym lodem Berdyczowie urodził się syn Józefa Cypriana i Jadwigi, któremu nadano imię Władysław Antoni. Według kalendarza gregoriańskiego był czwartek, 5 stycznia roku następnego, to znaczy 1905⁸. Ochrzczono go 4 dni później w parafialnym kościele św. Barbary.

Dobra sytuacja materialna rodziców zapewniała Władkowi życie w dostatku i w luksusie. Przez całe swoje dzieciństwo młody Bukowiński nie wiedział, co to troski. Rósł niczym zdrowe drzewo na dobrej glebie, całymi dniami ucząc się lub jeżdżąc konno. Umysł miał chłonny, już w wieku pięciu lat potrafił biegle czytać oraz pisać, i to zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Czasami w dzieciennych zabawach towarzyszyła mu siostra Irena⁹, urodzona w roku 1907.

W Europie trwała jeszcze *la belle époque*, czas pomyślności, beztroski i optymizmu: przynajmniej dla tych, którzy w społecznej przestrzeni

⁸ Kalendarz gregoriański – kalendarz słoneczny, zreformowany kalendarz juliański autorstwa Luigiego Lilio na zlecenie Grzegorza XIII. Jest to w zasadzie kalendarz juliański, do którego wprowadzono niewielką poprawkę mającą na celu zniwelowanie opóźnienia w stosunku do roku zwrotnikowego, narosłego od roku 46 p.n.e., oraz zapobieżenie jego powstawaniu na przyszłość. Kalendarz juliański spóźniał się 1 dzień na 128 lat, natomiast opóźnienie kalendarza gregoriańskiego wynosi 1 dzień na ok. 3000 lat.

⁹ Irena Bukowińska (po mężu Dawidowska) zmarła w roku 1930 w Gdyni.

znaleźli dla siebie miejsce stosunkowo wygodne. Cały kontynent drzemał, grzejąc się w ciepłe trwałe – jego zdaniem – bezpieczeństwo, aliansów, zamożności i dobrobytu. We wszystkich dziedzinach dokonywał się postęp. Elektryczność rozpraszała mroki, samoloty i samochody fascynowały wyobraźnię ludzi. We wszystkich stolicach tętniło życie. Pospiesznie budowano miejskie pałace o wysokich i obszernych bramach wjazdowych, luksusowe hotele, solidne banki i instytucje użyteczności publicznej. Wzmagał się ruch uliczny. Stare, wąskie, zbyt ciasne szlaki komunikacyjne przebudowywano na szerokie arterie dla licznych pojazdów konnych i coraz częstszych automobili, zastępujących stopniowo konne powozy, od których zresztą – na początku – zapożyczał kształty.

Pruto dawne dzielnice Paryża, burzono niepotrzebne już wały obronne Wiednia. Wypiętrzał się elegancki Budapeszt. Wokół zabytkowego centrum czeskiej Pragi stawiano drogie hotele na wzór paryskich pałaców. W Warszawie powstawały wielkomiejskie Aleje Jerozolimskie. Budowlany rozmach i entuzjazm tworzenia ogarnął cały kontynent. Wielkie stawały się miasta, wielkie były domy, wielkie w nich mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, wielkie też myśli towarzyszyły ludziom, nawet w godzinach rekreacji. Szalone życie przyprawiało o zawrót głowy nawet takich marzycieli, którzy patrzyli na potoki lśniących samochodów z wysokości (a raczej niskości) upstrzonych przez muchy okien zatęchłych suterren.

Życie, także i na prowincji, jaką z pewnością był Berdyczów, miało smak nowości, nęcących reklam i różnorodnych towarów pachnących egzotyką kolonialnych krajów. Urok wieczornych spotkań w teatrze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem życie towarzyskie przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców – rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w eleganckich powozach, miękko resorowanych i wygodnych. Powozy zdawały się dostosowane do wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne, blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiej-

skiej sielanki... Bajeczna, kolorowa i sielsko piękna *la belle époque*. Już niedługo wszystko to miało skończyć się z wielkim hukiem, ale na razie nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Bukowińscy często zmieniali adres. Nic nie wskazuje na to, żeby Józef Cyprian miał jakieś szczególne skłonności do ustawicznego przenoszenia się z miejsca na miejsce. To raczej jego zawód agronoma powodował, że dostawał pracę w coraz to innej miejscowości. I tak kilka lat ze swego dzieciństwa Władek spędził we wsi Hrybienikówka na Ukrainie, pomiędzy rokiem 1912 a 1913 rodzina mieszkała w Opatowie, później zaś w powiatach latyczowskim i płoskirowskim. Te ciągle przenosiny z pewnością nie zaliczały się do przyjemności, ale pozwoliły przyszedłemu księdzu poznawać różnych ludzi i różne kultury, co nie pozostawało bez wpływu na kształtowanie tolerancji i szacunku wobec innych.

Gdziekolwiek jednak los by ich rzucił, w domu Bukowińskich zawsze panowała atmosfera dobroci i życzliwości. Cyprian i Jadwiga tworzyli rodzinne gniazdo, bezpieczne i przytulne, przesycone atmosferą zgody, spokoju i pracowitości. Dzieci otrzymały religijne wychowanie, często wspólnie z rodzicami odmawiały głośno różaniec. Rodzice wpoili im także głęboki patriotyzm i dumę z faktu bycia Polakiem i katolikiem. Stąd właśnie Władysław czerpał później odwagę przyznawania się w okresie prześladowań do tego, że jest kapłanem, i siłę potrzebną do pełnienia bez względu na okoliczności posługi duszpasterskiej.

Jednym z najbardziej wyrazistych wspomnień, które zachował z dzieciństwa, były domowe wigilie. Stół przykrywano białym obrusem, pod którym leżało siano. W rogach jadalni stały snopy niemiłoczonego zboża. O zmierzchu wypatrywano pierwszej gwiazdy na niebie, co oznaczało, że należy zasiąść do wigilii. Wszyscy zjawiali się odświętnie ubrani. Matka przynosiła na talerzu opłatki zlepione miodem. Przełamywała się nimi najpierw z ojcem, potem przechodziła do dzieci. „Bodajbyśmy za rok znów łamali się opłatkiem” – brzmiały rytualne życzenia, do których dołączały się dalsze, dla każdego inne, wymawiane wrzuszonym głosem wśród objęć, pocałunków i nieukrywanych łez. Po tych życzeniach cała rodzina udawała się do kuchni, by przełamać się opłatkiem ze służbą.

Gdy zasiadano do stołu, wolno było zajrzeć pod obrus, gdzie każdy znajdował jakiś podarunek. Wilia składała się z przepisanych trady-

cją potraw, barszczu, szczupaka, gołąbków z ryżem i grzybami, klusek z makiem i chrustu. Po kolacji ojciec dawał znak, że można przejść do salonu. Matka intonowała „W źłobie leży, któż pobieży kołędować Małemu” lub „Lulajże Jezuniu”, i tak ten najważniejszy z wieczorów płynął wśród prastarych melodii, śpiewów, czarów i magii. Wielki dzień miał swój epilog o północy, kiedy cała rodzina udawała się na pasterkę.

*

Początkowo mały Władzio uczył się w domu, wykazując spore zdolności intelektualne. W roku 1914 rozpoczął naukę w gimnazjum rosyjskim w Kijowie. Ojciec dbał jednak o naukę języka polskiego i ojczyźnej literatury. Mechanizm taki formował nastawienie psychiczne kilku pokoleń polskich w okresie zaborów. Młody Bukowiński należał do ostatniego z nich.

Wyjazd do szkoły oznaczał nie tylko poznanie środowiska wielkomiejskiego, ale także zetknięcie się z rzeczywistością niewoli narodowej, w Kijowie bardziej widoczną niż na prowincji. Pierwsze zabawy z rówieśnikami kończyły się pierwszymi walkami na pięści uczniów polskich i rosyjskich, na przykład zdobywaniem „dla Polski” pryzmy żwiru w szkolnym ogrodzie.

Historycy zaobserwowali w odniesieniu do pokolenia poprzedzającego bezpośrednio generację Władysława Bukowińskiego pewną charakterystyczną cechę. Polacy urodzeni na Śląsku lub w Poznańskim byli nastawieni głęboko antyniemiecko, a urodzeni na Kresach Wschodnich – antyrosyjsko. U Władysława Bukowińskiego nie doszło do żadnej z tych skrajności, gdyż główny wpływ na jego nastawienie życiowe wywarła religijność, a ona wyklucza nienawiść do kogokolwiek. Ba! Każde nawet wrogów miłować. Nie przeszkadzało to temu, że zaraz za religijnością szła gorąca afirmacja polskości, zrozumiała przecież konsekwencja czasów niewoli. Podkreślmy tu jednak z góry, że afirmacja ta nigdy nie przyjęła charakteru nacjonalistycznego. Wynikało to z wczucia się w ducha chrześcijańskiej miłości bliźniego i z wypielegnowanego w rodzinie głębokiego szacunku dla każdego człowieka.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
ROZDZIAŁ PIERWSZY	19
ROZDZIAŁ DRUGI	39
ROZDZIAŁ TRZECI	63
ROZDZIAŁ CZWARTY	83
ROZDZIAŁ PIĄTY	113
ROZDZIAŁ SZÓSTY	137
ROZDZIAŁ SIÓDMY	171
ROZDZIAŁ ÓSMY	187
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	219
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	245
ROZDZIAŁ JEDENASTY	287
ROZDZIAŁ DWUNASTY	305
ZAKOŃCZENIE	347
BIBLIOGRAFIA	364
INDEKS NAZWISK	363